ROZMAITOŚCI.

Dnia 7. Października. № 40. Roku 1857.

O FOTOGRAFII.

Peryodyczne pismo angielskie „Quaterly Review“ zawiera w numerze 202 obszerne zestawienie rozmaitych pism naukowych o fotografii, tej najnowszej gałęzi sztuk pięknych, i mówi między innemi: Zdaje się, że trzy narody przewodoiczące teraz oświacie europejskiej — Francuzi, Anglicy i Niemcy, mają równy udział w zasłużeniu się około sztuki fotograficznej, jak niemniej w jej zastosowaniu i dalszem wydoskonaleniu. Wiadomo już powszechnie, jako rzecz ta cała polega głównie na tem, że światło wywiera wpływ cieniujący na pewne przedmioty, a szczególnie na srebro, które roztwarza. I tak np. rozpuściwszy srebro w mocnym kwasie, tedy powierzchnia nasycona tym roztworem powleka się drobnemi cząstkami kruszcu, które w takim razie rychło ciemnieją. Co do srebra zmięszanego z chlorem doszedł wypadku tego roku 1777 najprzód niejaki Scheele, rodem z Pomeranii, a roku 1801 sprawdził rzecz tę Ritter z Jeny używszy w dociekaniach swych oprócz powyższego roztworu także i saletrzanu srebra. Toć były główne doświadczenia, z których wyjść miała sztuka jeszcze nieznana, i szło już tylko o zastosowanie tego materyału, co było powodem tym doświadczeniom. Sir Humphry Davy był pierwszy, który przystąpił do tego, i co przewidział prawdziwy jego użytek. Łącznie z Tomaszem Wedgwood, mężem równie gruntownej jak i brat jego Josiah nauki, powiodło się Humphry'owi odtworzyć za pomocą kamery zaciemnionej obrazy na papierze lub skórze powleczonej saletrzanem srebra, a o czem „Journal of the Royal Society“ z czerwca 1802 zawiera wielce ciekawe sprawozdanie. Zamiar ich był przedewszystkiem naukowy, i szło im głównie o utrwalenie cieniów na substancyi, lecz zdaje się także że próbowali wydobyć odwzór i kolor przedmiotu, kiedy do doświadczeń swoich używali szkła kolorowego. Gdyby nie to, tedy trudnoby pojąć, dlaczego właśnie tego a nie innego materyału do dociekań swych użyli.

Rosprawa wspomniona wskazuje najprzód możność oddania kształtu przedmiotów rozmaitych, jakie się tym sposobem w kamerze zaciemnionej odbijają, a następnie wyjaśnia znany odtąd pod nazwą „rysunku fotograficznego“, sposób za pomocą którego liście, koronki, skrzydełka owadów, tudzież inne płaskie lub pół przejrzyste przedmioty rozłożone na papierze osobno przyrządzonym i wystawione na bezpośrednie działanie słońca, pozostawiają dokładne zarysy swych kształtów. Lecz na tem schwyceniu eterycznego ducha fotografii wszystko się już kończyło; dzieło czarodziejskie jawiło się wprawdzie, lecz utrwalić je było rzeczą niepodobną; — najmniejszy poźniej wpływ światła ścierał natychmiast obraz nacieniowany, a właściwie ciemniała cała powierzchnia papieru. Słowem, nie znano jeszcze właściwej tajemnicy, jak utrwalić obraz. Pozostało więc dociekanie innym, a drogę wytknął im w wieszczem przeczuciu pierwszy wielki dostrzegacz (sir Humphry) gdy powiedział: „że chcąc tę rzecz piękną i dziwną uczynić oraz i korzystną, należy jeszcze wynaleźć metodę zapobieżenia temu, by niezacieniowane części rysunku nie przyjmowały barwy po wystawieniu na światło dzienne.“

Tymczasem porobił roku 1803 dr. Wollaston niektóre godne uwagi doświadczenia i przekonał się przy tem o wpływie światła na pewną substancyę żywiczną, znaną w handlu pod nazwą „gummi guaiacum“. Równocześnie wpadł na ten pomysł i inny chemik. Imię Józefa Nicefora Niepce nie ma wprawdzie w świecie wielkiego rozgłosu, a jednak jest to jeden z głównych promotorów tej sztuki, zwłaszcza ze to co zdziałał nosi charakter

wielkiej mozoły i pierwszego początkowania, a o czem przy wyjaśnieniu wynalazków późniejszych rzadko kto wspomina. Niepce był to zamożny obywatel francuski, osiadły w pobliżu Châlons Sur Saone, i dla własnej rozrywki zajmował się chemią. Następcą Davy'ego i Wedgwood'a możnaby go nazwać tylko co do czasu i pory, gdyż zapewne nieznane mu były wcale ich odkrycia i postępowania. Równie jak i oni używał kamery zaciemnionej do sporządzania swych obrazów, lecz substancya na którą je przenosił składała się z płyty cynowej pokrytej cienką powłóczką żywicy ziemnej (rudy ognistej). Proceder jego należy teraz po części do ważniejszych szczegółów historyi fotograficznej, zwłaszcza że jemu pierwszemu powiodło się utrwalić odwzory uzyskane. Zaklął i utrzymał to, co mu blask słońca utworzył. Dociekania swe rozpoczął roku 1814 i dziesięć lat strawił, nim dopiął zamiaru. Jemu należy też zaszczyt utwierdzenia wypadkiem usiłowań fotograficznych tego prawidła filozoficznego, że widzi rozum to czego oko dostrzedz nie zdoła, i że przeto przekonanie wiedzy o tem co być musi, wyprzedza jawne obwieszczenie się rzeczy wprzód nim istnieje. Obrazy jego były po wyjęciu z kamery zaciemnionej niewidzialne dla oka i jawiły się tylko za pomocą pewnego rozczynu, który oddalał te części zacienione, co pod wpływem światła nie skrzepły. Nie było też w nich tej zwykłej zmiany stanowiska światła i cieni, jaka we fotografii znana jest pod nazwą pojawu odwrotnego (negativ); lecz obrazy te zdjęte z przyrody lub miedziorytu są co do skutku jednakie, to jest co do wypadku zwanego wyraźnym (positiv). Mimo wszelkich tych korzyści „heliografi“ — jak ją wynalazca nazwał, i mimo to, że była wówczas dziwem niesłychanym, to jednak brak jej było jeszcze tych przymiotów, które-by wynalazek światu niecierpliwemu śmiało zaleciły i sławę jego utrzymały. Cały proceder był trudny, niepewny i zmienny. Pan Niepce otrzymywał podobno obrazy swe z natury dopiero po upływie siedmiu do dwunastu godzin, tak że zmiana światła i cieni przyczyniała się koniecznie do ich niedokładności; raz nawet zdarzyło się, że na odwzorze jego widać blask słońca na murach przeciwległych. Te więc trudności zraziły p. Niepce od dalszego zdejmowania odwzorów z natury, lecz natomiast zajmował się głównie kopiowaniem miedziorytów, przy czem płycie swej nadawał za pomocą pewnego rozczynu taką powłokę, że w sposób zwykły można było odtłaczać z niej wizerunki. I te usiłowania powiodły mu się pomyślnie, jak świadczą o tem egzemplarze pozostałe — chociaż niepewność procederu i zbyt wielkie trudy przy tem zniewoliły go także do ich zaprzestania. Łatwo więc pojąć, dla czego zasługa jego nie znalazła rozgłosu; zwalczywszy największe trudności sztuki, pozostawił następcom swym mniejsze już tylko i łatwiejsze do rozwiązania. Temu też przypisać można także i mniej pomyślne uznanie usiłowań tego prawdziwie skromnego i przenikliwego męża w Anglii, dokąd udał się roku 1827 z zawiadomieniem stowarzyszenia królewskiego o wypadku badań swych naukowych. Krótki, własnoręczny memoryał jego przedłożono wprawdzie wraz z niektóremi odwzorami królowi Jerzemu IV., lecz zasada przyjęta w stowarzyszeniu królewskiem, ażeby wynalazku połączonego z tajemnicą wcale nie uwzględniano, sprawiła, że stowarzyszenie królewskie nie przystąpiło do rozpoznania pisma wspomnionego. Jakoż przedłożono je zaledwie jednemu tylko dr. Wollaston'owi, mężowi odszczególniającemu się w tem stowarzyszeniu gruntownością nauki, lecz i ten przyjął rzecz tę bardzo obojętnie, chociaż tak próby przyłączone jak i sam przedmiot zasługiwały na większe uwzględnienie. P. Niepce wrócił więc do Francyi z tem przekonaniem, że sztuka ta nie przemawia wcale do pojęcia i skłonności Anglików.

Tymczasem dowiedział się badacz w Châlons od pewnego optyka, że p. Daguerre, mistrz sporządzający zwykle dioramy, zajmował się także dociekaniem sztuki fotograficznej. Szukał więc znajomości jego, i w końcu wszedł z nim w spółkę co do dalszych w tej mierze usiłowań i możliwych ztąd korzyści na przyszłość. P. Niepce umarł roku 1833, nie przyłożywszy się podobno już w niczem do dalszego ulepszenia wspólnej sprawy. P. Daguerre pracował nad tem dalej i wprowadził nowe zmiany, a te wskazały mu także i całkiem już nowy proceder. Wkrótce zaniechał żywicy ziemnej, zastąpił ją płytą srebrną wypolerowaną, i pierwszy użył jodu — tego tak ważnego we fotografii czynnika, za pomocą którego płyta jego stała się tak dotkliwą, że sporządzenie obrazu wymagało już mniej minut, niż dawniej godzin. Równocześnie występował na jaw niespostrzegany potąd odwzor, a to za pomocą solanu srebra żywego, po czem mocny rozczyn

soli zwyczajnej oddalał te części z powierzchni, które wprzód ciągle ją zaciemniały, i tym sposobem odwzór utrwalił.

Tak więc uzyskał p. Daguerre w ciągu minut niewielu obraz w sposób już wyraźny i pewny, co dokładny i jasny w szczegółach, mógł oddać wszystkie stałe czyli nieruchome kształty w przyrodzie, a nadto zachował wszelkie warunki światła i cieni. Dymek bowiem ze spalonego srebra żywego tworzył małe smugi białawe na tych częściach tablicy, co od światła były zacieniowane, i tym sposobem wydobywał jasne zarysy, dla których tło srebrzyste było cieniowaniem.

Roku 1839 ogłosił p. Daguerre światu gotowy już wypadek długoletnich prac swoich; wynalazek ten nazwano daguerotypem, a w czerwcu tegoż roku odbyła się z tego powodu scena pamiętna w Izbach francuskich. Deputowanym przedłożono sprawę następującą: PP. Daguerre i Niepce-St. Victor (współka nadawała bowiem wszelkie korzyści wynalazku Daguerra synowi dawniejszego kolegi jego) posiadają bardzo pożyteczną, ciekawą i dla świata uczonego całkiem jeszcze nową tajemnicę, która kosztowała ich wiele pracy i pieniędzy. Gdyby im jednak na wynalazek ten patent wydano, natenczas tajemnica ta byłaby dla świata niemal stracona. Rząd francuski mianował przeto komisyę do rozpoznania zasługi i pożytku wynalazku wspomnionego, a tajemnicę powierzono p. Arago, któremu powiodło się też uzyskać piękny odwzór na próbę. Po tak dokładnem przekonaniu się przedstawił sławny ten uczony w przemowie bardzo pięknej, umiejętnej i ze wszech miar dokładnej korzyści niezmierne, jakieby „np. podczas wyprawy wojennej w Egipcie można było osiągnąć za pomocą równie dokładnego i pewnego, jak niemniej i spiesznego środka reprodukcyjnego“. Dodał przy tem, że „na odwzorowaniu tych wielu milionów hieroglyfów znajdujących się na wielkich pomnikach w Tebach, Memphis, w Karnaku i t. d. strawiono-by w sposób zwykły lat kilkanaście, a oprócz tego musiała-by ogromna liczba artystów nad tem pracować, gdy przeciwnie za pomocą daguerotypu mógłby ogromną tę pracę jeden tylko człowiek uskutecznić dokładnie w czasie dość krótkim. Odwołał się przy tem do zdania sławnego malarza de la Roche, że to niezmierną korzyścią dla sztuki, jeśli sposobem wspomnionym można będzie otrzymać rysunek dokładny, pełny i wykończony, który mimo niepojętej swej drobności w niczem jednak nie psuje harmonijnego spokoju mas i bynajmniej nie osłabia wrażenia i skutku ogólnego. Scena ta odbyła się w duchu prawdziwie francuskim — lecz miała oraz wszelkie znamiona umiejętności i patryotyzmu prawdziwego: z jednej bowiem strony układała się sama Francya o utwory jeniuszu, a z drugiej przeznaczała je „darem dla całego świata“. Zdarzenie to powtórzyło się w Izbie parów, gdzie oprócz innych wywodów wspomniał p. Gay-Lussac w duchu prawdziwie francuskim i o tem: „że tym tylko a nie innym sposobem można-by oddać żywcem wszystkie sceny bojowiska z wszelką dokładnością!“ Stanęło więc na tem, że w nagrodę wynalazku przyznano pensyę 10.000 franków, z czego p. Daguerre otrzymał 6.000, a p. Niepce 4.000 franków. Następnie odjęto pieczęć z tajemnicy, a daguereotyp stał się własnością całego świata.

Ale dziwnym i mniej pomyślnym dla sztuki tej trafem, wydarzyło się, że w Anglii powiodło się zabiegom prywatnym uzyskać osobny patent na daguereotypy. I tak była Anglia krajem jedynym, który ze wspaniałości rządu francuskiego nieodniósł żadnych korzyści. Początki też powstania fotografii nie mają tak wzniosłego charakteru w dziejach jak historya jej dojźrzałości.

Rzeczą zresztą wiadomą, że wszystko, w czemkolwiek tylko odtad w sztuce tej postąpiono, należy do rzędu samych tylko ulepszeń w jednym i tym samym kierunku. Sztuka ta nosi znamiona właściwe każdemu wynalazkowi wielkiemu: że nic potrzebuje i niedopuszcza żadnych właściwych zboczeń od raz wskazanego już procederu. Wszyscy, co tylko przyczynili się do jej udoskonalenia, trudnili się tem samem w społeczeństwie zajęciem, co i wynalazca. Imiona pp. Fizeau i Claudet łączą się ściśle z teraźniejszym stanem tej sztuki. Pierwszy zabezpieczył użyciem chlorydu złota daguereotyp od starcia i zniweczenia, nadał mu lepszy wyraz i większą dokładność. P. Claudet zaś, który sztukę tę podniósł w sposób rozmaity, przyspieszył działanie płyty stokrotnie użyciem bromu; równocześnie też przedłużywszy jedną część procederu zmienił bez użycia żywego srebra odwzór od razu na wyraźny (positiv), tak że tło srebrne przedstawia teraz światła, miasto co dawniej cienie obrazu.

(D. n.)

ZBIORY ARCHIWALNE.

Dokumenta Koniecpolskich, ze zbioru JmcX. Sadoka Barącza.

(Obacz Nr. 39. Rozmaitości.)

2. ZAPISY DŁUGU.

a) Skrypt p. Adamowi Rzewuskiemu na dwanaście tysięcy złotych polskich.

Nizey podpisany zeznawam tym Skriptem iż zostałem winien pewnego y realnego długu Wielmoznemu JmPanu Adamowi Rzewuskiemu Staroscie Wiszenskiemu Złotych Polskich Dwanascie Tysięcy, ktorą to summę assekuruię Jmci oddac realiter na ten czas gdy ex persona mei albo sukcessorow moich Dobra moie Ponikwice (na które dnia dzisieyszego JmPanu Staroscie dałem do wukupna konsens), wykupowac z possessyey JmPana Starosty przyidzie, y niepowinien będzie JmPan Starosta z Dobr pomienionych ustąpic, asz pomienione Dwanascie Tysięey złotych Polskich wraz z summą oryginalną ktorą JmCi Cessionario suo, a possessorowi teraznieyszemu ex liquidis iuribus należącą, wyliczy y oney wlewck miec będzie, realiter Jmci przezemnie albo sukcessorow moich oddane będą. Com ztrzymac powinien cum posteris meis pod Zakładem Dwunastu Tysięcy Złotych Polskich a ten skript takowey wagi miec ch(ci)ałem iakobym coram actis authenticis Regni zeznał albo roborował. Forum zas in casu contraventionis w Grodzie Lwowskim naznaczam. Działo się w Korsowie Dnia Dwudziestego siodmego Novembris Tysiącznego Szescsetnego Dziewiędziesiątnego Roku.

(podpis) **Jan Koniecpolski.**
(pieczęć w laku familijna).

(Na odwrotnej stronie wewnątrz arkusza:) Sabbatho pridie Festi Sancti Nicolai Episcopi Anno Dm. 1699. Ad Acta Officii Castren(sis) Capitan(eatus) Leopolien(sis) per oblatam porrec(tum), suscep(tum) et Induct(um).

b) Skrypt p. Stanisławowi Omiecińskiemu na dwadzieścia trzy tysiące złotych Polskich.

Nizey podpisany, znam tym skryptem moim, iż zaciągam rzetelnego Długu, u JM. Pana Stanisława Omiecinskiego Czesnika Mscisławskiego Złotych Polskich Dwadziescja y trzy Tysiące, ktorą to summę na przyszłe Trzy Krole, według Kalendarza Rzymskiego, przypadaiące, temuz JmPanu Czesnikowi Mscisławskiemu, oddac y wyliczyć rzetelnie powinien będę, in casu nieoddania Wies korresponduiącą Intracie, w summie pomienjoney JmPanu Czesnikowi, Zastawnym puszczę sposobem; Nim zas przyidzie do oddanja tey summy, albo pusczenja Wjoski tędy tę summę do summ na Ponikwice importowanych przyłaczam, y puty additament z Skarbu mego płacic deklaruię, poki JmPan Czesnik albo summy Dwudziestu Trzech Tysięcy, albo Dobr korresponduiących nieodbierze, A to pod Zakładem drugiey takowey Summy, O co Forum Grodu Lwowskiego do odpowjadanja naznaczam; ktory to skrypt dla lepszego waloru lub sam roborować będę lub temuz JMPanu Czesnikowi Mscisławskiemu Imieniem moim in Personam sui roborowac pozwalam: Teraz zaś podpisem Ręki moiey własney, y przycisnieniem pieczęci zwykłey stwierdzam. Działo się w Korsowie die 26 Febr(uarii) 1704 Roku.

(podpis) **Jan Koniecpolski.**
(pieczęć mała w laku).

(U spodu:) Sabbatho post Festa Solennia Sanctae Resurrectionis Christi 1704 an. Ad Acta C(apitencatus) Leop(oliensis) per ob(latam) porrect(um) et suscep(tum.)

Z autobiografii jednego z przywódźców Indyan amerykańskich, zwanych Wronami.

(Obacz Nr. 39. Rozmaitości.)

Między Czarnonóżcami

Niedługo po tem porzucił czarnonóżców i przyczepił się do pewnego oddziału strzelców polujących nad rzeką Snake. Razu jednego wydarzyło się, że czarnonóżce wyszli w dzień biały za „pożyczeniem" stada koni. Ścigano ich, i w liczbie 44 napędzono w krzaki zeschłe, które w kilku miejscach na raz podpalono. A co się który z krzaków tych wychylił, to go bez litości wystrzałem witano. Tę samą przygodę opisuje także i handlarz futrami, Alexander Ross. Nieco poźniej błąkał się Beckwourth w towarzystwie jednego szwajcara niedaleko tego miejsca. Pewnego ranka wracając do swoich, posłyszeli wrzawę za sobą, i o kilkaset kroków dostrzegli 2—300 Indyan. A że stali w miejscu, przeto obaj strzelcy wzięli ich z początku za swoich, lecz wkrótce zaczęła się pogoń na piękne. Obaj byli pieszo, więc Beckwourth rzecze do swego towarzysza: „Teraz jedno z dwóch: albo się im wymkniemy, albo nas złowią." Na to szwajcar: „Mnie złowią najprędzej, gdyż nie jestem wprawny do biegu, ratuj się jak możesz, a mnie tu zostaw." Beckwourth nie chciał o tem i słyszeć. „Weź nogi za pas i pędź co żywo do rzeki, a tam się snadno ukryjesz, gdyż ja całą nagónkę ściągnę na siebie." Tym sposobem szwajcar ocalał. Beckwourth przebył rzekę, a gdy go czarnonóżce spostrzegli nareszcie po tamtym brzegu, odsadził się już o pół mili od nich. Nagónka w krzyk na to, i dalejże za nim. Beckwourth wiedział to z doświadczenia własnego, że Indyanie mają między sobą wielu szybkobiegaczów, i że od pogoni nie odstąpią, gdyż inaczej wystawiliby się na pośmiewisko swoich towarzyszy. Gonili też za nim co tylko siły, a Beckwourth zmykał w nadziei, że niedaleko mu już do obozu swoich. Lecz zastał miejsce już próżne, gdyż towarzysze jego pomknęli dalej wzdłuż rzeki o jakie 55 mil angielskich. „Uczuć moich w tej chwili" — mówi Beckwourth — „niepodobna opisać. Dziwne myśli chodziły mi po głowie, a przed oczyma memi stanęła mi ziemia moja rodzinna, przyjaciele, kochanka — a wszystko to na raz. Indyanie byli tuż za mną, kule ich świstały mi koło uszu, krzyk ich straszliwy przerażał mnie całego, i czułem już ostrze noża dokoła mej czaszki. Z tem wszystkiem biegłem jak szalony za śladem towarzyszy moich. Ginąłem z pragnienia, zwłaszcza że dnia tego byłem na czczo prawie, pędziłem jednak na przód co sił stało. Chroniłem się tylko kul ich według możności, aż nareszcie ujrzałem słup dymu obozowego. Towarzysze moi spostrzegli mnie o całą milę (angielską) a zarazem i tych, co mnie ścigali. Dosiedli koni, a teraz przyszła kolej ucieczki na Indyan; lecz zaczęło się ściemniać, a ludzie nasi przynieśli z sobą tylko pięć szkalpów. Dnia tego ubiegłem jeśli nie więcej, to przynajmniej z 95 mil angielskich." Rzecz to trudna nieco do wiary, a Beckwourth powołuje się w tej mierze na świadków jeszcze żyjących. Lecz nie można też i tego powiedzieć, by to było rzeczą niepodobną, zwłaszcza że wiadomo, jako wysłannicy towarzystwa handlarzy futrami dokazują fizycznie rzeczy czasem nadzwyczajnych i prawie niepodobnych, a wytrwalsi z pomiędzy szybkobiegaczy indyjskich ubiegają na dzień podobno nawet do 110ciu mil angielskich.

Takie przygody powinnyby może obmierzić nie jednemu pustynię, lecz u Beckwourtha było przeciwnie. „W kilka dni po tym wypadku zdybał się zemną jeden z naszych bobrowników, nazwiskiem Le Blueux, który już 20 lat przepędził między górami, i zapewniał mnie, że zna pewną rzekę, gdzie-by można wiele bobrów nałowić. Rzeka ta wpadała do innej, zwanej Lewi Fork, o jakie 30 mil od obozu naszego, i chciał mi miejsce to ukazać. A że wówczas polowaliśmy na własną rękę, przeto nastręczająca się korzyść wielce mnie nęciła. Wyszliśmy tedy z obozu nocną porą i przez drogę obliczaliśmy zysk przyszły, gdy wtem ujrzeliśmy nagle za sobą cały tłum Indyan nieprzyjaźnych."

Obaj strzelcy znajdowali się właśnie niedaleko rzeki z brzegiem stromym w tem miejscu i zarosłym chaszczami, i tam się też natychmiast schronili. Koń bobrownika miał przypadkiem dzwonek u szyi, który tą razą stał się prawdziwem zbawieniem obydwóch. Odjawszy najprzód ten dzwonek, uwiązali go u gałęzi i podzwaniali nim za pomocą sznurka

długiego. Indyanie słysząc odgłos dzwónka strzelali w to miejsce, gdy tymczasem obaj strzelcy mierzyli z zasadzki na każdego z Indyan, jak tylko zbliżył się do nich nieostrożnie. Po niedługiej chwili nałożył sobie bobrownik fajkę z największą obojętnością, mówiąc że dopiero w obozie drugą fajkę zapali. I w tejże chwili padł strzał ze sztućca bobrownika, od którego poległ na miejscu jeden z Indyanów, co się bliżej podsunął. „A teraz uwiąż sobie u głowy mokasyn i spodnie.“ Beckwourth nie pojmował zrazu na co to i po co, lecz nietracąc ani chwili czasu zrobił tak, jak mu stary strzelec kazał. Bobrownik rzucił się do wody, a za nim i Beckwourth, i oba przepłynęli rzekę. I nim się Indyanie spostrzegli, byli już strzelcy na drugim brzegu, odsadziwszy się na pół godziny drogi od tłumu nieprzyjaciół. Pogoń była już więc niepodobną, a Indyanie miasto zyskania dwóch szkalpów utracili sześciu swych towarzyszy.

Między Wronami.

Takie-to były przygody handlarza futrami aż do jego pierwszego zetknięcia się z Wronami. Szczególniejszy zbieg rzeczy miał go uczynić społecznikiem losów tego szczepu, który długo uchodził za najdzielniejszy i najsilniejszy w stronach wschodnich gór skalistych, a to z tej głównie przyczyny, że wódki u siebie nie cierpieli. W gronie towarzystwa strzelców, do którego i Beckwourth należał, był także niejaki Greenwood, który miał żonę ze szczepu Indyan zwanych Wronami, i od niej też nauczył się ich języka. Pewnego dnia przyszli do obozu w odwiedziny „Wrony“ i „Węże“, które-to obydwa szczepy żyły zawsze w zgodzie z białymi, i dowiadywali się z wielką ciekawością, zkąd strzelcy dostali szkalpów z czaszek czarnonóżców, śmiertelnych ich nieprzyjaciół? Greenwood zaczął wychwalać bohaterskie czyny Beckwourtha, i przy tej sposobności nagadał łatwowiernym Indyanom kłamstw co niemiara. Nabajał im, że „nóż z białą kłódką“ (tak Beckwourtha między Wężami zwykle nazywano), był z rodu Wron. Indyanie pytali, jak to być może. „Wszak pamiętacie jeszcze — odrzekł Greenwood — że przed wielu laty Chyjanie pobili raz Wrony, położyli wielu ich trupem, a pewną liczbę kobiet i dzieci uprowadzili ze sobą. Otóż wtenczas zabrali i pewnego chłopca, którego poźniej białym sprzedali. Odtąd też został wielkim junakiem, walczył obok białych i stał się postrachem nieprzyjaciół waszych.“ Wrony zanieśli nowinę te szczepowi swemu, a każda matka, co wówczas utraciła swych chłopców, przyznawała się do Beckwourtha.

Po niedługim czasie oddalił się strzelec z obozu w towarzystwie jednego z swych kolegów, a w pochodzie swym natrafili na stado koni nieczyich. Lecz gdy się zaczęli upędzać za niemi, wpadli w zasadzkę Indyan, którzy odebrali im broń i skóry bobrowe. Opór był niepodobny, lecz i obawa niewielka, zwłaszcza że to byli Wrony, którzy Europejczykom nic złego nie robili. Beckwourtha stawiono przed przywódźcą, gdzie między innymi znajdowało się i kilku z tych, co rozmawiali z Greenwoodem. „Otóż ten jest Wroną zaginioną! zawołali głośno — brat nasz, co tylu już ubił nieprzyjaciół!“ Cała wieś wyroiła się na tę wiadomość, i wszystkie stare kobiety przybieżały natychmiast na powitanie domniemanego syna swego. Opatrywano więc Beckwourtha z wielką ścisłością. Każda z tych kobiet szukała za jakiem znamieniem lub blizną na jego ciele, lecz żadna nie doszukała się tego, czego pragnęła. Złożono nawet rodzaj wydziału rozpoznawczego dla stwierdzenia praw tylu matek przyznających się do Beckwourtha. Nareszcie stanęła jedna kobieta sędziwa, i wzięła go dobrze na oko. „Jeśli ma znamie nad okiem, to jest też niezawodnie mym synem.“ Rozwarto mu powieki i zaglądano do białek, i znalazło się też coś podobnego do znamienia. Tę więc kobietę uznano matką Beckwourtha, a odszukanego syna jej zaprowadzono w tryumfie do chaty „garnka pękatego“, jego ojca, gdzie go nowi krewni ściskali niemal aż do uduszenia i serdecznie witali. Znalazło się i cztery siostr nowych, a siostry te dały mu w moment suknie i obuwie starannie uszyte, stary zaś ojciec postarał się niebawem dlań o żonę, swatając mu jedną z trzech dorosłych córek przywódźcy „Chaty czarnej“, a to „Cichą wodę“, „Czarną rybkę“, i „Troje ścieżek“. Beckwourth wybrał sobie najstarszą, której samo już imię rokowało mu szczęście pożycia zgodnego. Wrony zachowują ten zwyczaj, że teść wydawszy za mąż swą córkę, nie mówi już więcej z swym zięciem. Nie dają też i posagu żadnego. Nowi krewni postarali się dalej o uposażenie państwa młodych, które co do nowożeńca składało się głównie z koni i broni rozmaitej. Beckwourth otrzymał po raz pierwszy przydomek, i nazwano go „gwiazdą

poranną". Umyślił też korzystać z tego pomyślnego dlań wypadku, zwłaszcza że w towarzystwie Wron mógł polować z mniejszem niebezpieczeństwem i futra zdobywać. Lecz wkrótce musiał dzielić wszystkie wycieczki bojowe szczepu tego, który wówczas (1826) żył w zgodzie tylko z Płasko-głowaczami i Wężami, a najczęściej staczał walki z czarnonóżcami i ze strasznemi niegdyś Chejenami. Dawniej liczyli Wrony do 16.000 wojowników, lecz niedługo przed przybyciem do nich Beckwourtha wymarła prawie połowa szczepu całego na ospę. Zwykle brali Wrony górę nad swymi wrogami, a najbardziej z tej przyczyny, że żyli w zgodzie z białymi i wódki nie pili. Z tej samej przyczyny mieli i lepsze zyski z handlu swego z Europejczykami, a kiedy nieprzyjaciele ich dawali swe futra handlarzom europejskim w zamian za wódkę lub wiedli z nimi bój srogi, pobierali Wrony od Europejczyków broń i dostateczny zapas strzeliwa, tak że chodzili zawsze z bronią nabitą. Spory między szczepami powstają zawsze z jednego i tego samego powodu. Indyanie przepadają przedewszystkiem za końmi. Lecz bez należytego dozoru i baczności wystawione są stada koni ustawicznie na utratę i zabor. Strona poszkodowana szuka odwetu i zemsty, i tym sposobem wre walka krwawa bez końca. Oprócz tego istnieje u Indyan odznaka wojenna, która taki sam wpływ u nich wywiera, jak np. order na wojskowych europejskich. Autor obznajamia nas z niektóremi szczegółami w tej mierze, a samo już szkalpowanie jest dla Indyan wielką ponętą, gdyż w miarę szkalpów zdobytych rośnie i powaga wojownika u szczepu. Mają Wrony i ten zwyczaj u siebie, że wojownik co się w boju odznaczy, ma prawo do kraszenia za powrotem żony swe pewnemi znakami. Oznaka ta wzbudza wielką zawiść między kobietami, zwłaszcza że im dodaje wziętości i próżność ich łechce. Tak więc sama nawet próżność kobiet pobudza Indyan do ustawicznego krwi rozlewu i do rozboju. A czem który w boju dzielniejszy, tem więcej też może żon sobie pozyskać, gdyż każda rada-by doczekać się kraszenia. Wiemy już z dawniejszego opowiadania, że Beckwourth miał kochankę w St. Louis, i że odrzekł się jednej i drugiej swej żony u Czarnonóżców. U Wron miał ich jeszcze więcej, lecz nie przestając na tem, zapalił się do jednej Indyanki zwanej „Sosenka". Drzeworyt przedstawia nam wizerunek tej piękności śniadej, a raczej jak miedź czerwonej — na koniu i z włócznią. Sosenka straciła w boju brata bliźniaka i poprzysięgła duchowi wielkiemu tak długo przestrzegać dziewiczości swojej, aż się śmierci jego nie pomści. Lecz zaprzysiężona zemsta nie mogła być zupełną, aż pokąd-by stu odznak (Ku) nieotrzymała. Z początkiem kazdego roku wznoszą kapłani czyli ludzie lekarstwa nową świątynię zwaną także chatą lekarską. Przy tej sposobności wylicza każdy z wojowników wojenne swe czyny, i odbiera za to jeden chlubny wspominek (Ku), np. za broń zdobytą, a dwa za każdą skórę zdartą z czaszki przeciwnika. I dla tej to bohaterki zapłonął Beckwourth pożądliwością. Wiedzieć tu także należy, że Indyanki mają właściwy sposób okazywania żalu i żałoby swojej, ucinając sobie jeden palec u reki. Sosenka zdobyła już szkalpów kilkanaście, a nawet u mężczyzn uchodziła za najlepszego jeźdźca i szybkobiegacza. Wszystkie te jej przymioty, któreby u nas wstręt tylko wzbudzały, zachwycają Indyan i wzniecają pożądliwość u dzikich. Sosenka nie przyjmowała oświadczeń Beckwourtha, gdyż już i tak miał żon za wiele. Poźniej jednak przyrzekła mu być żoną aż wtenczas, kiedy jedlina pożółknie, a inną razą kazała mu czekać tak długo, aż w górach skalistych nienatrafi na jakiego Indyana rudowłosego. Wkońcu powiodło mu się przecież zmiękczyć jej serce, i przyrzekła mu już na prawdę, że jeśli kiedy pójdzie za mąż, to tylko za niego, lecz wprzód musi ślubu swego dopełnić. Beckwourth zalotny urządzał więc w taki sposób wycieczki wojenne, że amazonka nie wracała nigdy bez szkalpów.

Beckwourth przychodził zwolna do coraz większej wziętości u Indyan. Wrony mieszkają w dwóch wsiach pod przewodem dwóch przywódźców, którzy w każdem niebezpieczeństwie wspierają się wzajemnie. O najważniejszych sprawach narodowych stanowi rada sześcin, i do tej rady wybrano także i Beckwourtha. Senatorowie ci mieli rangę według lat służby, tak że po zgonie jednego z nich posuwał się wyżej i jego naśledzca. Najstarszy senator (counselor) stał w znaczeniu na równi z obydwoma przywódźcami, którzy na każdej radzie zasiadają. W razie głosów podzielonych powołuje rada jednego z najstarszych szczepu, przedstawia mu sprawę, i ten dopiero rozstrzyga polubownie. Rada ta stanowi o wojnie i pokoju, i żadna wycieczka wojenna nie może być przedsięwzięta bez jej zezwolenia. Za wszelką samowładność w tej mierze odbiera każdy z wo-

jowników chłostę rózgami, a w razie oporu i śmierć mu zadają. Beckwourth był już wówczas członkiem tej rady przemożnej, gdy mu się przytrafiła pewna przygoda niemiła.

Jedna z obu tych gmin wiejskich wybrała na czas sześciu miesięcy „deszcz nawalny“, wojownika tęgiego na przełożonego wiejskiego czyli na kwatermistrza swego, gdyż z obowiązku przypadało mu wybierać miejsce na obóz, ustawiać czaty, utrzymywać porządek policyjny, a zresztą zostawał pod bezpośrednim rozkazem przywódzcy naczelnego. Człowiek ten miał najpiękniejszą żonę między Wronami, którą wszyscy podziwiali, a bardzo wielu za nią przepadało. Żaden jednak nie mógł poszczycić się jej względami, gdyż była-to kobieta rozumna a przy tem i wyniosła. Beckwourth łaził za nią ustawicznie, chociaż go nieośmielała bynajmniej. A odkąd mąż jej nabył nowego zaszczytu, odtąd i hardość jej przybrała. Lecz Beckwourth umyślił wypłatać figla walnego, i postanowił wykraść cudzą żonę. Na pomocnika w tej sprawie podmówił sobie rodzonego jej brata, któremu całkiem się zwierzył i pięknemi słówkami skłonił go do tego, że nocy następnej sprosił krewnych do swej chaty, i zatrzymywał ich u siebie jak mógł najdłużej. Godny braciszek miał sobie za zaszczyt, że mógł się „mężowi wielkiemu“ przysłużyć. gdy tymczasem inny powiernik stał przed chatą na straży. Jak tylko „deszcz nawalny“ wszedł do chaty szwagra swego, pospieszył i Beckwourth wykraszony i ustrojony w najlepszym guście indyjskim do chaty pięknej Indyanki. Spała snem twardym, a gdy ją Beckwourth przebudził, zapytała: „Kto tu?“ — To ja; przychodzę tu, bo cię kocham. — „Czy nie wiesz, że jestem żoną przywódzcy?“ — Wiem; lecz on cię tak nie kocha, jak ja ciebie kocham.§ Nie wychodzi z drugimi do boju, lecz gnuśnieje we wsi. Ja jestem jednym z junaków i należę do każdej wycieczki; jak długo będziesz żoną „deszczu nawalnego“, tak długo nie pokrasi on lic twych nową ozdobą (Ku). — „Mój mąż cię ubije.“ — Ha! to wtenczas będą sobie Wrony o tem rozpowiadać, że wielki wojownik „ramię krwawe“ (nowy przydomek honorowy Beckwourtha) zginął dla miłości pięknej kobiety. — „Ojciec twój utraci wszystkie konie i całe swe mienie, i popadnie na starość w ubóstwo.“ — Jeśli utraci swe konie, to mu nowych nakradnę. Chlubić się będzie nawet tą stratą, jeśli tylko syn jego posiędzie tak piękną jak ty kobietę. Obok ciebie ubiłbym bardzo wielu nieprzyjaciol i niejeden szkalp bym przyniósł, a często moglibyśmy także tańczyć ze sobą. — Indyanka nie mogła już dłużej oprzeć się jego namowom. Nadzieja ukraszenia lic swych zanadto była wielką ponętą, więc daje mu pierścień swój na znak, że mu będzie powolną. Wróciwszy poźniej z dwóch wycieczek pomyślnych dał rozkaz kochance swej Bachua-hist-a (jagodzie czerwonej), by czekała go za wsią w chwili, kiedy wychodzić będzie na trzecią wycieczkę. Jakoż stawiła się na miejscu oznaczonem i odbyła w towarzystwie wojowników wyprawę, która się powiodła pomyślnie, gdyż przeszło sto koni zyskano. „Czerwona jagoda“ sprzeniewierzyła się teraz już całkiem mężowi swemu, a „deszcz nawalny“ dowiedział się wkrótce o wszystkiem. Za powrotem junaków wyszedł na przeciw nich w towarzystwie kilku sióstr swych i zaczął się użalać; pochwycono więc Bechwourtha i sieczono rózgami. „Położyłem się dobrowolnie — mówi junak w tem miejscu — i znosiłem cięgi z indyjską wytrwałością, chociaż niemal nie zginąłem z bolu. Gdybym się był im sprzeciwił, mogli mnie według prawa i zwyczaju zabić na miejscu, jak równie i mnie wolno było ich zabić, gdy-by mi choć jedną tylko kropelkę krwi upuścili. Tak mnie prażyli niemiłosiernie, że z zawziętości rad już byłem krwi własnej upustowi. Po tem biczowaniu zabrano ojcu memu wszystkie konie, a z wyjątkiem broni zagrabiono mu całe mienie. Mój ojciec utracił 500, ja zaś 80 koni.“

(D. c. n.)

Jeździ teraz po Grecyi w missyi biblioteki Oxfordskiej niejaki p. Cox, wyszuknje i zbiera stare rękopisma, i jak donoszą zbogacił już swój zbiór dobytkiem nie małym rzeczy wcale potąd jeszcze nieznanych. Lord Lyons zostawił mu na rozkazy paropływ osobny, ażeby swobodnie z wyspy na wyspę po morzu śródziemnem przejeżdżał, mógł klasztory zwiedzać i co nabędzie ciekawego lub pożytecznego, bespiecznie Oxfordowi przesyłał. Spodziewają go się niebawem z powrotem do Anglii.

Główny Redaktor **M. Szrzeniawa Sartyni.** *Z c. k. galicyjskiej drukarni rządowej.*